

PANORAMA POŁNOCY
OLSZTYN, UL. SZRAJBERA 11

Beniowski
wydanie

Nr 17 z dn. 25-04-1971

218

BOHDAN DROZDOWSKI

SŁOWASZKIEWICZ



Dzięki kurtuazji Adama Hanuszkiewicza mogłem obejrzeć „Beniowskiego”. Biletów normalnie kupić nie można, chyba że na parę tygodni naprzód, a na parę tygodni naprzód ja planować nie umiem. Skorzystałem więc z dżentelmeńskiej oferty dyrektora Teatru Narodowego, dostawiono mi krzesło, na którym, bujając się rytmicznie w takt wersetów poematu, oglądałem to widowisko, usiłując zgłębić tajniki duszy artystów. Obydwu. Tego, którego teksty recytowali lub wyśpiewywali aktorzy, oraz tego, który to wszystko sobie wyobraził i ożywił. Hanuszkiewicz miał w środowisku opinię trochę enfant terrible. Przystojny, pewny siebie, arogancki, teoretyzujący zawile, niespokojny, gwiazdorski i gromiący gwiazdorstwo zarazem, a gromiący bezlitośnie! — pomysłowy, łamiący ileś tam teatralnych kanonów, likwidator kurtyny w teatrze, wróg duży Grotowskiego i jego eksperymentów, słowem — postać kolorowa. Naturalnie stanowi przedmiot zainteresowania publiczności i trudno się dziwić, skoro co dzień ma na sali tysiąc osób i do nich mówi. Ileż to tysięcy ludzi ogląda go w ciągu roku, w ciągu lat! Siedząc na widowni Teatru Narodowego, po raz pierwszy w życiu poczułem zawiść wobec Aktorów, wobec ich masowego kontaktu z publicznością, która chwytta i przejmie od nich, jak od mediów, treści dawno, zdawało się, zbutwiałe. Na „Beniowskim” zrozumiałem, czasem takie naiwne odkrycia przychodzą późno i niespodzianie, że w zawodzie aktora jest coś bardzo pięknego, ale tylko wtedy, gdy nagle staje się wywołany z więzów, zredukowany do zabawy, gdy spektakl przemienia się w nieustające interludium, w grę pomiędzy. Pomiedzy słowem a jego przedrzeżnieniem, pomiędzy tradycją a jej zaprzeczeniem, pomiędzy oddaniem jakiejś sprawie a bufonadą. Hanuszkiewicz doszedł do tego po raz pierwszy w swoim życiu właśnie w „Beniowskim”. Przedtem był jednak zbyt serio, a bywając zbyt serio — bywał niepoważny. Brak powagi u artysty jest zbawienny, pod warunkiem, że się artysta z tego potrafi w porę wywikłać i zdyskontować to na swoją korzyść. W Hanuszkiewiczu jest coś z chłopca, z urwisa, który więcej czuje, niż wie, ale skoro dojdzie do tego, że to, co przeczuwał, nagle staje się wartością pomnażającą jego wiedzę — staje się twórcą godnym szacunku. Nie powtarzam z zasady cudzych sądów, cudze sady mnie nie interesują tak długo, jak długo nie zostaną do nich przekonany (coż za bufonada?!), ale ten sąd powtórzę bez przekory, choć nie bardzo z nim się zgadzam: Hanuszkiewicz to jedyny niespokojny człowiek teatru w Polsce, człowiek, który szuka. Nie potrafię się upierać przy twierdzeniu, że znam wielu lub wszystkich twórców, oderwanie wieloletnie od Kraju nie pozwala na tego rodzaju sady. Wiem, że niespokojnych jest więcej, że poszukujących jest bardzo wielu, tylko że znajdują niektórzy. W teatrze Hanuszkiewicza zajmowało mnie zawsze owo oddane przejęcie, z jakim ten twórca ukazuje się na scenie i jak ukazuje sprawę z pomocą aktorów i innych ludzi teatru. Był to do tego czasu trochę teatr szkolny. Wszystko w nim było takie serio! Nawet obrotowa scena w „Weselu” była serio i nawet utwór towarzysza Rakowskiego był serio. Młodzieży szkolnej wpaja się szacunek dla Muz, przeto teatr szkolny musiał być serio, musiał budzić szacunek. Kiedy smutny Raskolnikow chadzał z toporem po rusztowaniach, było nam tak smutno, tak smutno jak na własnym pogrzebie. I kiedy Kolumbowie rozważali w piwnicy swoje losy, też nam było smutno. No, bo to są smutne kawałki, ktoś powie, ale nawet w najsmutniejszych kawałkach bywa czasem widnieć. Hanuszkiewicz przejrzał w „Beniowskim”. Z wieszczą zrobił wodewil, a słowa „dupków” i „zasraniec” użyte przez Słowackiego w tajemnicy przed pokoleniami, które nigdy Słowackiego nie czytały, zabrzmiały treściwie, wówczas i świeżo.

Olbrzychski zagrał głupka bożego, jakim jest Beniowski, z takim przeję-

ciem, że się wierzyło setnie w pustotę jego mózdzku i oczków, które wprawdzie w oryginale są ciemne a u niego jaśnięć, ale Hanuszkiewicz jako narrator wmówił nam skutecznie, że jasne jest ciemne. Cóż to, nawiasem, jest „Beniowski”? Jest to historyjka o bałwanach przeplatana patriotycznymi westchnieniami oraz pewną ilością aktualnych aluzji i napomknien. Sam Słowacki nie wiedział, ku czemu to ma zmierzać, skoro zamierował połączyć poemat z „Królem Duchem” — mielibyśmy wtedy pasztet nie lada. Liczni profesorowie analizowali nam ów poemat na wiele sposobów i wielu doszukiwali się głębi, a Hanuszkiewicz zachował się wobec tego dzieła jak ów czeladnik jubilerski, który przekłuł perłę bez namysłu i nie uszkodził, gdy mistrzowie, znający jej cenę i ryzyko przekłuwania, oddawali właścicielowi z szacunkiem i lękiem. „Beniowski” poszedł więc pod nóż czeladnika i za jaśniał nam wszystkimi barwami swojej głupoty, płycizny i prawdy o panu Borejszy, pijaczynie bożej, o księdzu Marku gromogłosym i okrutnym jako rycerz prawy więcej aniżeli jako zakonnik, o rzeziach bratobójczych ukraińskich, o tatarach i stepach, o wielu innych kolorowych a krwawych epizodach dziejów naszej Ojczyzny, w czasach kiedy już nawet Chan krymski nie chciał poważnie posłów polskich traktować, że się Królestwo począł rozpypywać. Słowacki pisał niemal powieść współczesną, coż tam znaczyło te kilkadziesiąt lat od wypadków, nam to dziś już się bajka wydaje, szczególnie że się Olbrzychski ładnie szablą składa i z całym tabunem Tatarów, zanim ich na makaron przerobił, tańczył pięknie. I miłował pannę, której tata nie chciał mu dać, że wioski swoje przepuścił. A już gdy kontusze szlachty dym pokrył i ogień bitewny postrzelił i gdy pijaczynie Borejszy nos czerwony przybladł a u ramion husarskie skrzydła wyrosły i z gardła pieśń patriotyczna się rwać poczęła ku Bogu, i gdy chór „święta miłości kochanej Ojczyzny” zanucił za kulisami, szloch targnął moją pierś, jakbym samego księdza Kordeckiego na wałach Częstochowy zobaczył! Z Monstrancją! Ba, ale wtenczas już kolubrynę Kmicic był rozsądził, a krótsze lufy do fortu świętego donosić nie były w stanie...

Cały ten pasztet stepowy, co nam Hanuszkiewicz zgrabnie przypomniał, napisał francik-elegancik, co to w listach do matki każdy swój nowy stroik określał starannie. Pyszny był ten dowcip z ubraniem paru aktorów w rozmaite stroje Słowackiego i to „a to ja” z machnięciem rąk na wszystkich. I Lajkoniki galopujące, i dziewczęta hoże, i drabina znowu grająca szczyt górski romantyczny bardzo mi się podobała. I święty Piotr na końcu z aniołkami na zjeżdżającym moście. Ludzie bawili się setnie, dziwiąc się zapewne szczerze, że mieliśmy takiego poetę, a nikt go nie znał! A przecież w tym jedynym poemacie Słowacki okazał się humorystą. Każde słowo mówi o dystansie i ironii, o uśmiechu, z jakim to było pisane: „Ale ważniejsze rzeczy rozdził Muza. Otóż już słusze z daleka PUKANIE z dział, z dubeltówek, z flinty, z arkebuz i czuję w sercu, że nadspodziewanie prędko mój rycerz może dostać GUZA. Niechaj się wola Pana Boga stanie, ja go prowadzę w ogień: jeśli zginię, poemat się mój wcale nie rozwinie”. Trzebaż to tłumaczyć na nasze? Hanuszkiewicz idzie w niektórych miejscach (ostatnie słowa pierwszej części) na przerabianie wersów Słowackiego, jakby to było w oryginale, zapewniając, że „po przerwie wiersze będą lepsze”... Ktoś szepnął za moimi plecami, a był to zapewne jegomość w Słowackim czytany: Słowaszkiewicz! — Myślę, że się pan Adam na nieznanego nie obrazi, żart mu się wypisał pewno mimochodem, ale przecie jest w tej zbitce nazwisk coś adekwatnego do tej zbitki tekstów i przeróbek, jakim „Beniowski” uległ pod ręką inscenizatora i reżysera, i głównego aktora.

„Beniowski” stanowią w życiu Teatru Narodowego cezurę i chyba w karierze Hanuszkiewicza. Obiit Creator Serius, natus est Libertus...